

FUNDACJA GENERAL ELŻBIETY ZAWACKIEJ
Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej
oraz Wojskowej Służby Polek
87-100 Toruń, ul. Podmurna 93, tel. 0048 56 65 22 186
e-mail: fapak@wp.pl; www.zawacka.pl
NIP 956 16 25 127; REGON 870502736
KRS 00000 41692
Nr r-ku 82 1090 1506 0000 0000 5002 0244

ustępnie opr.
28.05.2013
B. Rojek



27 DUP
AK Чолынь
обш. Dubno

БІЛАГОРОДСКА Данута

z d. Bakuniak
ps. "Dzika"

42/02/15K

SPIS ZAWARTOŚCI
TECZKI

4202/WSK
.....

Białachowska Danuta
.....

z d. Bakuniek
ps. "Dzika"
.....

1./1. Relacja ✓

1/2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące osoby relatora

1/3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące delatora

II. Materiały uzupełniające relację

III/1. Materiały dotyczące rodziny relatora

III/2. Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r.

III/3. Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945)

III/4. Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 r.

III/5. Inne

IV. Korespondencja

.....

.....

.....

V. Nazwiskowe karty informacyjne :

VI. Fotografie

T. 4201/WSK

Białachowska Danuta z d. Bakuniak, ps. „Duka”
ur. 11.11.1925

- I/1. Relacja w sprawie Danuty Białachowskiej (w.i.) zamieszczona
w Biuletynie Inform. 27 Dyw. Wołyńskiej AK nr 2/66/2000.
Kserokopia stron 67-78. A-5, k.11, s.12.



Bimletym 4mf 27 Dyr. Wołyński H.
w 2/66/2000 wice

Danuta Białachowska
z domu Bakuniak
ps. „Dzika”

obwód Dnbno

okr. H. Wołyń

WSPOMNIENIA Z LAT WOJNY

Urodziłam się 11.11.1925 r. na wsi Podzamcze – Osada Wola Piłsudskiego gm. Radziwiłłów pow. Dubno. Ojciec Jan Bakutniak był osadnikiem wojskowym, matka Stanisława z domu Malinowska. Oboje rodzice pochodzili z lubelskiego: mama z Lublina, a ojciec z Udrycz pow. zamojskiego.

W 1926 r. umiera ojciec, mając zaledwie 24 lata i odtąd mnie i starszego o dwa lata brata Edmunda Henryka wychowuje matka. Kłopoty związane z prowadzeniem 15-hektarowego gospodarstwa rolnego zmuszają mamę do ponownego zamążpójścia. Wychodzi za Orłowskiego, ale związek ten rozpadł się szybko, zostało tylko matce nazwisko.

W sierpniu 1935 r. przenieśliśmy się na kol. Raczyn koło Dubna, gdzie mama razem ze swoją siostrą Sabiną Adamowską kupiły z Banku Rolnego gospodarstwo, abyśmy mogli kontynuować naukę bez oderwania od domu, gdyż na Podzamczu była tylko trzyklasowa szkoła powszechna. W roku szkolnym 1934/35 wyjechaliśmy z bratem do Sitańca koło Zamościa i tam chodziliśmy do szkoły, ja do klasy czwartej, a Henio do piątej. W Dubnie na Surmiczach w 1938r. ukończyłam szkołę powszechną, a brat kontynuuje naukę w gimnazjum. Tutaj przeżyliśmy w 1939 r. wybuch wojny.

W styczniu 1940 r. mój brat wraz z kuzynem – synem ciości Sabinny uciekają przez zieloną granicę do babci Joanny Malinowskiej zamieszkałej w Ursusie koło Warszawy.

Jesienią 1939 r. rozpoczynam naukę w polskiej szkole w Dubnie, a w lutym 1940 r. dostajemy nakaz przesiedlenia na osadę Jastrzebiec, położoną po przeciwnej stronie Dubna koło wsi Iwanie i oddaloną od miasta. Powodem przesiedlenia była decyzja o budowie na naszych ziemiach lotniska.

Mieszkańcami Jastrzebiec byli osadnicy wojskowi, którzy w styczniu 1940 r. zostali wywiezieni na Sybir. Z naszej osady również wszyscy osadnicy zostali wywiezieni. Nam się na razie udało.

W marcu 1940 r. przenieśliśmy się na Jastrzębicę, gdzie osiedlono nas po dwie lub trzy rodziny na jednym gospodarstwie. Nam przypadł stary, rozwalający się dom we wspólnym gospodarstwie z p. Dygilisową, której mąż był powołany w 1939 r. jako oficer rezerwy do wojska i z wojny nie powrócił. Pracowałyśmy w gospodarstwie, chodziłam do szkoły, ale stale myślałyśmy, że po nas przyjadą. Piekłyśmy i suszyłyśmy suchary, spakowane miałyśmy tobołki i czekałyśmy. Pewnej letniej nocy w 1940 r. usłyszałyśmy szum silnika samochodowego, samochód zatrzymał się na naszym podwórzu. Zaczęłyśmy szybko się ubierać po ciemku. Weszli obok do nowego domu, w którym mieszkała p. Dygilisowa z małym dzieckiem i starymi rodzicami. Słysząc było płacz, lament. Po jakimś czasie wyprowadzili ją z dzieckiem na rękę. Wrzucili tobołki na samochód, ona wsiadła i odjechali. Nam pomogło mamy nazwisko nie notowane w rejestrze osadników, zostałyśmy.

W niedzielę 22-go czerwca 1941 r. Dubno było bombardowane. Na naszą łąkę spadł płonący samolot. Bieглиśmy do niego. Ktoś krzyknął, żeby nie zbliżać się, bo mogą rozrywać się pociski. Zaczekaliśmy, a potem wolno podeszliśmy do płonącego samolotu. Wbity był głęboko w ziemię, a dookoła w promieniu kilkunastu metrów leżały strzępy ciała ludzkiego. Zobaczyłam kawałek policzka z nosem i górną wargą i zrobiło mi się niedobrze. Pierwszy raz widziałam dzieło wojny.

We wrześniu tego roku zapisałam się do szkoły ukraińskiej, bo polska została zlikwidowana, ale po trzech miesiącach nauki szkoła ta została zamknięta z uzasadnieniem braku opału oraz zagrożeniem chorobami zakaźnymi.

Jesienią wrócił do nas mój brat Henryk, a po nim przyjechał najmłodszy brat mamy Józef.

Wujek Józef w 1940 r. za ucieczkę z obozu jenieckiego skazany został przez Niemców na karę śmierci. Z więzienia udało mu się uciec. Potem przebywał u krewnych w Słotwinach koło Kazimierza Dolnego (nad Wisłą). Przyjechał z dokumentami swojego starszego brata Zygmunta Malinowskiego i na tych dokumentach przetrwał całą wojnę. Zamieszkał ze swoją siostrą Sabiną i jej synem Zbigniewem. Było łżej miałyśmy mężczyzn w domu.

Wiosną 1942 r. zainteresował się nami Urząd Zatrudnienia i skierował do pracy w Dubnie. Mnie do magazynów zbożowych do szufłowania i workowania zboża, a wujka Józka jako technika młynarskiego do magazynu w Dyrekcji Młynów jako magazyniera artykułów technicznych i paliw. Pewien okres do pracy chodziliśmy codziennie z Jastrzębicy, a przed zimą wujek wynajął pokój na Zabramiu i tylko na niedzielę wracaliśmy do domu. Pod koniec 1942 r. zmieniłam pracę, przenieśliśmy się do Rybchozu i wiązałam sieci i węcierze.

Późną jesienią 1942 r. zaczęły rozchodzić się wieści, że Ukraińcy zbierają się, radzą, zbroją, rzucają hasła, że niedługo będą chodzili po kolana w polskiej krwi.

Z uwagi na zagrożenie brat mój zaczął mamę i ciocię namawiać na przeniesienie się do miasta. Początkowo opierały się, ale brat z uporem przedstawiał zagrożenie, rozpoczął starania o jakieś pomieszczenia. W tym czasie Niemcy zlikwidowali getto. Wymordowali wszystkich Żydów, część domów zburzyli całkowicie, a część pozostała zdewastowana, bez drzwi i okien.

Brat zajął na ul. Gruntowej tuż nad rzeką dwa domki stojące naprzeciw siebie. Jeden bardzo zniszczony przeznaczony został na budynek gospodarski, a drugi w trochę lepszym stanie – na mieszkanie. Powstawał drzwi i okna, przestrzeń między budynkami z dwóch stron od szczytów ogrodził wysokim płotem z furtkami w obie strony, a na ruinach sąsiedniego domu przygotował miejsce na sterty słomy i siana. Siedlisko było gotowe, i w lutym 1943 r. zamieszkaliśmy wszyscy razem w Dubnie.

W krótkim czasie po tym zapłonęły polskie domy, zaczęły się bestialskie mordy, nikomu nie darowano życia, w mękach ginęły dzieci, kobiety i starcy. Niektórym udało się uratować tylko życie. Wtedy pod nasz dach przyjęliśmy dwie rodziny: p. Faszczową z dwoma synami i p. Krotkiewskich z trzema córkami. Do naszej rodziny przyjęliśmy sześciolatniego chłopca Leszka Targosza, którego rodziców zamordowali banderowcy.

Nie umiem dokładnie określić czasu, kiedy rozpoczęła się praca konspiracyjna, ale po przyjeździe do nas wujka Józka i powrocie Henia było wiele spotkań i rozmów sąsiedzkich. Obaj, będąc w centralnej Polsce, należeli do organizacji Obok nas na Jastrzębicy

mieszkał inż. geodeta Stanisław Fabiański, st. sierżant St. Szymanik, plutony Maciocha. Ciocia Sabina mieszkała w jednym domu z Maciechą. W rozmowach domowych czasem pokpiwano sobie z niego, że jest tchórzem. Jak i dlaczego sprawdzali jego odwagę? Kiedy mieszkałam z wujkiem w Dubnie, zauważyłam, że coś ukrywa. W piecu chlebowym nieczynnym miał skrytkę i widziałam, że tam coś przechowuje. Na moje pytanie: co tam ma? żartem odpowiadał, że jestem jeszcze smarkata i nie powinnam interesować się tym, co robią dorośli. Obraziłam się i więcej nie pytałam. To działo się na przełomie lat 1942/43.

W marcu 1943 r. wujek Józek przyprowadził do naszego domu w Dubnie pana, którego przedstawił jako Jana Wisniewskiego – swego kolegę ze szkoły. Powiedział: ten pan zamieszka u nas na pewien czas. Po wielu latach dowiedziałam się, że naprawdę nazywał się Zygmunt Kulczycki i nigdy razem nie chodzili do szkoły. Wtedy rozpoczął się okres bardzo ożywionej działalności organizacyjnej. Pojawili się nieznani ludzie, jak pani Baśka (faktycznie Stanisława Kulczycka żona Zygmunta), Wiktor Hruby (Jan Józefczak), Romer – pracownik firmy budowlanej „Narucki”. Firma ta przeniosła się z G.G. Wykonywała prace budowlane, zatrudniała Polaków, ulokowała się na naszej ulicy pod nr 1. Wszyscy wyżej podani mówili, że są pracownikami tej firmy, ale faktycznie tylko p. Romer tam pracował. Pozostali korzystali z dokumentów wystawionych przez firmę.

Przychodziło również wielu mieszkańców Dubna, głównie podoficerów. Przyjeżdżali goście z Pańskiej Doliny i Młynowa. Tak poznałam z Pańskiej Doliny: Antoniego Cybulskiego, Teofila Kozłowskiego, Antoniego Wisniewskiego, Wacława Murzyle, Henryka Dawidowicza, Władysława Toczke, Jerzego Kozłowskiego i innych, których nazwiska zatarły się w pamięci. Z Młynowa przyjeżdżał Władysław Peterko i wcześniej znany mi Roman Kucharski.

W tym czasie p. Jan Wisniewski powiedział mi, że jestem rozsądną, inteligentną dziewczyną i mogę być pomocną w pewnych pracach. Tak rozpoczęła się moja praca łączniczki w organizacji.

Po Wielkanocy pani Basia zaproponowała mi opiekę nad chorym przebywającym w szpitalu. Zabrała mnie do szpitala miejskiego na Pantali, przedstawiła chorego, którym miałam się opiekować. Chory

pochodził z Krzemieńca, miał strzaskane w katastrofie kolejowej obie nogi i do pasa był w gipsie, nazywał się Kazimierz Pudło. Przez szereg tygodni chodziłam do niego z jedzeniem, książkami i słowami pociechy. W pokoju leżało kilku chorych, wśród nich jeszcze jeden Polak z przestrzeloną przez Ukraińców nogą i jego otoczyłam opieką. Nazywał się Henryk Kocel. Szpital zlokalizowany był daleko za miastem, oddzielony rzeką Ikwą z szerokimi rozlewkami i bagnami. W pobliżu nie było żadnych zabudowań. Chorzy byli zupełnie bezradni, zdenerwowani wiadomościami o ukraińskich mordach. Obawiali się napadu banderowców i masakry. Po pewnym okresie przyjechała żona p. Pudło i przetransportowała go do szpitala w Krzemieńcu.

W wielki poniedziałek przed Świętami Wielkanocnymi w drodze do pracy na ul. Panińskiej wpadłam w kocioł. Była łapanka, zatrzymali mnie żandarmi, wsadzili do budy i tak znalazłam się w obozie. Obóz był w budynku szkoły powszechnej na Surmiczach, do której chodziłam przed wojną. Stąd wysyłano transporty na roboty przymusowe do Niemiec. Spotkałam tam dużo koleżanek, kolegów i znajomych, a w każdej kolejnej budzie przywożono następnych, między innymi wujka Józka, aż napelnili budynek szkoły po brzegi.

Prawdę jest, że młodość ma pstro w głowie. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z powagi sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy i zagrożeń, jakie niesie. Każdą kolejną znajomą osobę witaliśmy radośnie, tak, jakby było miłe spotkanie towarzyskie. Uważaliśmy, że to jest nieporozumienie. Mamy dokumenty czyste, pracujemy i na pewno nas zwolnią. Rzeczywiście w ciągu dnia kilka osób, w tym wujek, zostali wyreklamowani przez swoje zakłady pracy i zwolnieni. Byli to pracownicy zajmujący bardziej odpowiedzialne funkcje. Nocowaliśmy pokotem w klasach na barłogu ze słomy i miny nam trochę zrzędy. Obóz strzeżony był przez warty zorganizowane z volksdojczy. Między nimi zobaczyłam znajome twarze – polskie twarze.

Trzeba o tym powiedzieć, że na Wołyniu inaczej układały się stosunki między Polakami, niż w regionach zamieszkałych przez samych Polaków. Było nas mało. Znaliśmy się wszyscy, jeżeli nie osobiście z w dzieńca, ze szkoły, czy środowiska, w którym się mieszkało, z kościoła, a wreszcie z ulicy, deptaku, na którym po nabożeństwie młodzież spacerowała, spotykała się w grupkach, roz-

mawiała umawiała, zalecała. Duża część życia towarzyskiego skoncentrowana była na deptaku. Polacy byli bardzo skonsolidowani.

Inne też były motywy podpisywania volkslisty. Polacy w okresie wojny, a szczególnie okupacji niemieckiej doznali wielu krzywd. Potracili rodziny, domy, życie. Nie znajdowali sprawiedliwości u władz. Nasz znajomy Bronisław Bacholc był gajowym, miał żonę i dwoje małych dzieci. W czasie jego nieobecności na gajówkę napadli banderowcy, zamordowali żonę, dwoje dzieci i brata żony, zabudowania podpalili. Po powrocie zastał pogorzelisko i zwęglone ciała swoich bliskich. Na własną rękę szukał sprawców. Ustalił, że mordu dokonał jego najbliższy sąsiad. Podpisał volkslistę, zgłosił winnego w zandarmerii, która aresztowała go, osadziła w więzieniu i wiosną 1943 r. na rynku odbyła się egzekucja publiczna. Jedyna znana mi egzekucja. Jesienią Bronisław Bacholc ps. „Czajka” odszedł na Pańską Dolinę, wstąpił do oddziału partyzanckiego i zginął jako jeden z pierwszych w walce z banedrowcami.

Gdy zobaczyłam znajome twarze wśród strażników, pomyślałam, że nie jest źle. Wujek i brat są na wolności, to na pewno zadziałają. Rano przyjechała komisja, w składzie której był lekarz. Komisja szybko uporała się z przeglądem i badaniami i większość złapanych zakwalifikowała na wywóz do Niemiec. W tej grupie znalazłam się i ja. Muszę powiedzieć, że młodzież nabrała powagi. Ja byłam zdruzgotana. Nie pamiętam nawet, czy coś dostaliśmy do jedzenia. Wieczorem, gdy było już ciemno, ułożyliśmy się na barłogu i wtedy ktoś za oknem powiedział moje nazwisko. Podeszłam do okna. Ktoś z mroku powiedział, żebym nie zwracając na siebie uwagi wyszła do bramy. Ostrożnie wyszłam na korytarz, zdjęłam drewniaki, żeby nie robić hałasu i bosą pobiegłam do wyjścia. Przy wyjściu stał Broniek Bacholc, chwycił mnie za rękę i szybko dobiegliśmy do furki. Za furką stał rower. Wsiadłam na ramę i za pół godziny byliśmy w domu. W domu była wielka radość i radosne były Święta. Do pracy w Rychozie nie wróciłam.

Po powrocie do domu przez pewien czas ukrywałam się, ale po kilkunastu dniach rozpoczęłam normalne życie. Miałam więcej czasu i pan Jan często wysyłał mnie w swoich sprawach na Surmiec do pani Baški, która mieszkała u znajomych wujka p. Dębczyńskich, małżeństwa nauczycielskiego z poddubieńskiej wsi. Poznałam tam

siostrę p. Dębczyńskiej Niusię, trochę starszą ode mnie dziewczynę, z którą zaprzyjaźniłyśmy się. Niusia była osobą bardzo przedsiębiorczą, a warunki materialne były ciężkie; przedstawiła mi projekt zasilania kasy domowej. W Dubnie przy bekoniami było dużo producentów mydła, korzystających z tłuszczu wynoszonego z bekoniami. W Równem można było łatwo nabyć od pracowników browaru drożdże bardzo poszukiwane w Dubnie. Wystarczy tylko towary te przemieścić, by uzyskać godziwy zysk. Zdecydowałam się na to. W domu nie było pieniędzy, ja potrzebowałam jakieś buty na zimę, wyrosłam z odzieży. Kilka razy przemierzałyśmy trasę z Dubna do Równego i z powrotem. Niusia miała kontakty w obu miastach, odbiór towaru był zapewniony na korzystnych warunkach. Za zarobione pieniądze kupiłam na targu w Równem jakieś używane buciki i coś z odzieży. Byłam zadowolona. Niusia wystąpiła z propozycją, że na drożdżach można więcej zarobić, sprzedając je nie hurtem w sklepiku, a wywożąc na wieś. Nie zgodziłam się na to. Pojechała sama na wieś, w której jej szwagier był kierownikiem szkoły, gdzie wielu mieszkańców znała, i nigdy już nie wróciła. Przeżyłam to bardzo. Z handlem definitywnie skończyłam. Jednak w dalszej pracy konspiracyjnej, kiedy jeździłam jako łączniczka do Łucka, wykorzystywałam to i zawsze koleżankom i znajomym mówiłam, że wyjazdy moje związane są z handlem. Miałam doskonale, wiarygodne alibi.

Wiosną 1943 r., w organizacji była pracowita. Pan Jan z małymi przerwami nadal u nas mieszkał, przychodziła Baśka, wpadał Hruby i Roman. W niedziele po nabożeństwach przychodzili podoficerowie z Surmicz i w pokoju wujka Józka i p. Janka trwały rozmowy, wchodziła jedna furka, wychodzili drugą koło stert i gruzów. Nie wzbudzało to specjalnych podejrzeń sąsiadów. Przyjeżdżali chłopcy z Pańskiej Doliny furmanką zabierali jakieś ładunki. Brat przyprowadzał żołnierzy niemieckich, Polaków ze Śląska, którzy chcieli zdezerterować. Mówiło się o wywożeniu zboża z magazynu zbożowego, w którym poprzednio pracowałam. Stale coś się działo.

W maju brat otrzymał zawiadomienie, że jest wyznaczony na roboty do Niemiec. Wujek Józek z p. Janem zdecydowali, że żadnych szans na zwolnienie nie ma. W tej sytuacji musi jechać i starać uciec z wagonu. Plan się powiódł, po dwóch tygodniach Henio wró-

cił do domu, ale dla bezpieczeństwa wszystkich skierowany został na Placówkę w Pańskiej Dolinie.

✓ Wiosną 1943 r., być może w maju aresztowany został Witold Bronowski pełniący funkcję komendanta Obwodu Dubno. Jak głosiła fama powodem aresztowania było zeznanie zatrzymanej na granicy w Brodach kobiety, której dokumenty na przekroczenie wydawały się fałszywe, a która zeznała, że miała je od Bronowskiego.

1943/3 Po kilku tygodniach od aresztowania Bronowskiego (może na początku czerwca) otrzymałam polecenie dostarczenia W. Bronowskiemu do więzienia grypsu. Więzienie na Zabraniu strzeżone było przez volksdojczy. Chodziło o ustalenie, w jakim dniu będą mieli służbę Polacy i nie będzie komendanta więzienia – rudego, tęgiego Niemca. W uzgodnionym z Bronkiem Bacholcem terminie zostałam przez niego wprowadzona do więzienia. Na służbie było kilku młodych ludzi, wśród nich znajome twarze. Następnie wpuścili mnie do maleńkiej celi na piętrze, w której zobaczyłam zmizerowanego, wysokiego, szczupłego mężczyznę. Oddałam mu gryps. Gdy schodziliśmy na dół chłopcy powiedzieli – musimy pani coś pokazać. Otworzyli drzwi do celi, w której na betonie leżał zwinięty w kłębek jak chore zwierzątko 8-10-letni chłopiec żydowski. Powiedzieli, że poprzedniego dnia żandarmi schwytali go na terenie byłego getta, gdzie w ruinach przez parę miesięcy przechowywał się, karmiąc się znalezionymi odpadkami. Postać tego dziecka mam przed oczami do dzisiaj.

✓ Po aresztowaniu W. Bronowskiego praca konspiracyjna jakby ucichła. Wyjechał p. Jan Wiśniewski, znikła Baśka, nie pokazywał się Hruby i Romer.

W połowie czerwca otrzymałam polecenie zgłoszenia się w domu sierżanta Krauzego na Surmiczach, którego znałam z okresu przedwojennego, a teraz widywałam u wujka. W domu nie było nikogo, weszłam do kolejnej izby, w której leżała Dziunia. Była chora na gruźlicę, w bardzo ciężkim stanie. Zapytałam, czy u nich nie ma nikogo. Zdaje się, że w dużym pokoju jest jakiś pan. Zastałam tam pana Jana, który przejazdem zatrzymał się w Dubnie i dał mi zlecenie załatwienia kilku spraw oraz przekazał materiały, które miałam dostarczyć wskazanym osobom, między innymi Halinie Miśkiewicz

i Waldemarowi Koryckiemu. Sądzę, że był to rewanż za udzielone informacje lub załatwienie spraw w urzędach.

W drugiej połowie lipca, w bardzo upalny dzień około godz. 10-tej przybiegł do domu wujek Józek. Był bardzo zdenerwowany. Powiedział, że w mieście są aresztowania i żandarmi byli po niego w biurze, ale nie zastali go. Mam natychmiast biegnąć na Surmicze i zawiadomić o aresztowaniach. Wyszliśmy razem z domu, wzięłam go pod rękę, bo widziałam, że nadal jest zdenerwowany i rozmawiając szliśmy w kierunku magazynu, w którym pracował. Dochodząc do targowiska, na równoległej ulicy prowadzącej do magazynu, zobaczyliśmy dwóch ukraińskich SS w czarnych mundurach. Patrzyli na nas. Weszliśmy za stragany. Powiedziałam do wujka – idź do p. Kawków i zaczekaj na mnie, a ja pójdę zobaczyć, dokąd oni idą. Wujek skręcił w uliczkę w lewo, ja poszłam wzdłuż straganów, zakryta nimi i wyszłam na otwartą przestrzeń. Zobaczyłam, że „czarni” stoją i rozmawiają ze znanym mi z widzenia Ukraińcem. Patrzyli w moim kierunku. Chciałam się zatrzymać, poczekać, zobaczyć co oni będą robić. Zobaczyłam mały domek z serduszkami. Weszłam tam. Poczekałam parę minut i wyszłam. Zobaczyłam, że jeden z Ukraińców nadal stoi i rozmawia, a drugi idzie w kierunku, skąd ja przyszłam. Poszłam mu naprzeciw. Kiedy dochodziłam do niego, zadał mi pytanie – dokąd poszedł Zygmunt? Odpowiedziałam – do domu. Zapytał o dokumenty. Nie miałam przy sobie. Skinął na drugiego, Podeszedł i zobaczyłam Pawła Burkę – kolegę ze szkoły podstawowej, z którym chodziłam 3 lata (od klasy piątej do siódmej), a ojciec jego uczył nas matematyki w tym czasie. Przed wojną uchodzili za Polaków wyznania grecko-katalickiego. Po wejściu Niemców stali się zagorzałymi nacjonalistami. Dwaj starsi bracia pracowali na wysokich stanowiskach w urzędach niemieckich, najmłodszy Paweł służył w SS i współpracował z niemiecką żandarmerią.

Widziałam, że Paweł czuł się fatalnie i słowem się do mnie nie odezwał. Udawałam, że nie wiem, kogo oni reprezentują i rozmawiałam swobodnie z kolegą Pawła, tak, jakby oni byli znajomymi wujka, którego chcą spotkać. Równocześnie myślałam, żeby ich tak prowadzić do naszego domu, by przejść koło domu p. Kawków i widokiem tym uprzedzić o niebezpieczeństwie, jakie mu grozi. Po wejściu do domu Paweł zaglądał do pomieszczeń, otwierał szafy, a ja

zagadywałam drugiego. W pewnym momencie ponownie zapytał mnie o dokumenty. Kenkartę miałam w zakiecie, zaczęłam szukać i stwierdziłam, że żakiet na pewno włożyła mama i wyszła z domu. Powiedziałam im o tym. I wtedy odezwał się Burka, że jestem tą, za którą się podaje. To ty ciu paniu znajesz? Tak. I powiedział, że chodziliśmy do jednej klasy. To wy na ty czy na pani. Odpowiedziałam, że w międzyczasie dorośliśmy i możemy rozmawiać przez pan. Czas płynął, oni niepokoił się, dlaczego wujek nie przychodzi do domu. Ja zapewniałam, że na pewno zaraz przyjdzie, że być może kogoś spotkał, lub gdzieś wstąpił, ale niech jeszcze trochę zaczekają. Gdy upłynęła godzina zaczęli się podnosić. Wtedy ja zapytałam, a może jak wujek wróci, to powiem mu, żeby się do panów zgłosił. Czułam, że lekko zbaranieli, ale ten drugi odpowiedział – może. To gdzie ma się zgłosić. Do żandarmerii na ul. Panińską. Do żandarmerii – to strasznie brzmi. Niech się panię nie obawia. Zygmunt ma wystąpić w charakterze świadka w pewnej sprawie. To przekazać. Wyszli – nareszcie wyszli. Przebrałam się i klucząc zakamarkami pobiegłam do p. Kawków. Wujka tam nie było – nie przyszedł. Pobiegłam na Surmicze zawiadomić o aresztowaniach. Wszyscy już o tym wiedzieli. Za kilka dni otrzymaliśmy wiadomość, z Pańskiej Doliny, że wujek nie wstępując do p. Kawków poszedł prosto na Iwaniu, gdzie z całej kolonii polskiej pozostał tylko st. sierżant Stanisław Szymanik, który piwnicę przebroił na bunkier, rodzinę wywiózł do Dubna, a sam z panią Marią Rajfową zbierał żniwa i bronił placówki. Z Iwania chłopcy z Pańskiej Doliny zabrali wujka wozem na placówkę Zabrali, jak mówili „prosto spod nosa”. To był mój egzamin dojrzałości. Od tego czasu wujek traktował mnie poważnie, jak dorosłego partnera, a nie jak utrapioną smarkulę.

Aresztowania w Dubnie miały szeroki zasięg. Aresztowano, o ile dobrze pamiętam – 11 lub 12 osób, w tym z osób mi znanych p. Jerzego Strzygockiego, p. Edmunda Chudybę, p. Romera, p. Lipę.

Na zjeździe w Warszawie słyszałam wypowiedzi kolegów, że aresztowania te były przypadkowe, a nie na skutek wsypy. Ciężko jest myśleć, że zdrajca był wśród nas, ale strzał był w dziesiątkę – p. Romer, Lipę i wujek Józek należeli do organizacji, o czym wiem. Jerzy Strzygocki i Edmund Chudyba powinni należeć, bo znałam ich jako patriotów i ludzi o wysokim morale.

Jerzy Strzygocki w latach 1939-1941 był dyrektorem polskiej szkoły na ul. Panieńskiej w Dubnie, do której uczęszczałam w tym czasie. Był wspaniałym wykładowcą języka polskiego, wielkim patriotą, prawym i mądrym człowiekiem. Wykłady z języka polskiego były najciekawszymi wykładami w szkole. Poza lekcjami przygotowywał z nami recytacje różnych utworów wybranych, fragmenty z „Dziadów”, „Pana Tadeusza” i innych, również w formach muzycznych i tanecznych. Prezentowaliśmy to uczniom całej szkoły. Chciał nam wszczepić umiłowanie języka ojczystego i literatury. Ja osobiście bardzo dużo mu zawdzięczam. W okresie dwuletniej nauki w tej szkole miałam okresy załamania i rezygnacji. Byłyśmy z mamą na gospodarstwie same. Wszystkie prace męskie wykonywałam ja. Jesienią i wiosną, kiedy były zbiory okopowych, orki i siewy zbóż, sadzenie ziemniaków, do szkoły nie chodziłam tygodniami. Na szczęście żniwa były w czasie wakacji, no i mogłam się uczyć.

Po długiej nieobecności w szkole miałam braki, które trudno było nadrobić, szczególnie w przedmiotach ścisłych. Kilka razy chciałam zrezygnować z nauki. Kiedy mówiłam o tym dyrektorowi, że jestem zmuszona sytuacją, w jakiej się znajduję zrezygnować z nauki, mówił mi o potrzebie i roli nauki w życiu człowieka, o tym, że człowiek wiele może znieść, o tym, że dla swego dobra muszę znieść wszystko wytrzymać. I dzięki niemu wytrzymałam. Kiedy w czerwcu 1941 r. Niemcy zajęli Dubno, całą bibliotekę szkolną rozdał uczniom, którzy kochali książki. Ja dostałam kilkanaście książek, między innymi całe wydanie dzieł Adama Mickiewicza.

Nie wiem, czy był członkiem organizacji bo była ścisła konspiracja, a w naszym domu spotykali się członkowie organizacji wojskowej, ale obok równolegle funkcjonowała administracja terenu, o której wiemy mniej.

Pan Edmund Chudyba był kierownikiem szkoły powszechnej na Surmeczach, do której uczęszczałam w latach 1935-38. Nie miałam z nim lekcji, ale czasami bywały zastępstwa. Był surowy, wymagający, sprawiedliwy. Miał szerokie znajomości w środowisku mieszkańców Surmicz, gdzie było dużo wojskowych, Mógł należeć do organizacji.

Pan Romer był kierownikiem firmy „Narucki”. Bywał u nas u p. Jana Wiśniewskiego, spotykał się z Baską i Hrubym. Wiek około 50 lat, wysoki, ciemnowłosy z lekką siwizną. Ciemnooki, średniej tuszy, bardzo inteligentny. Na pewno należał do organizacji.

Pana Lipę znałam tylko z widzenia. Miał charakterystyczną sylwetkę zwracającą uwagę. Wysoki, szczupły, opięty w ciemnopopielatą dyplomatkę, w ciemnym kapeluszu, zawsze samotny. Wiek około 45 lat. Wiem od pana Antoniego Cybulskiego z Pańskiej Dolin, że piastował wysoka funkcje w konspiracyjnej administracji w Dubnie.

Po aresztowaniach nasz dom opustoszał i zamarł. Pozostały w nim tylko kobiety i dzieci. Tak trwało parę tygodni.

c.d.n.

Leon Karłowicz

O WOŁYŃSKĄ KAPLICĘ W SANKTUARIUM W KAŁKOWIE

Spośród znanych sanktuariów Maryjnych w Polsce Kałków-Godów jest na pewno najmłodszym, sięga bowiem swymi początkami lat osiemdziesiątych dwudziestego stulecia, a mimo to, biorąc pod uwagę rozmach, z jakim jest to sanktuarium wznoszone, ogromną liczbę pielgrzymów odwiedzających niezwykle miejsce, stawia się dziś Kałków na trzecim miejscu po Częstochowie i Licheniu. Jest to swego rodzaju fenomen i tylko szczególnymi łaskami Bożymi można wytłumaczyć tempo, w jakim powstawał ten ośrodek Maryjny i jak rozbudowuje się nadal.

Kałków leży mniej więcej w połowie drogi między Ostrowcem Świętokrzyskim a Starachowicami, kilka kilometrów na południe od głównej drogi łączącej wymienione miasta. Skromny na ogół, choć o bardzo ciekawym wnętrzu dwupoziomowy kościół ma w głównym ołtarzu kopie obrazu Matki Boskiej Licheńskiej, szczególnym kultem darzy także św. Maksymiliana Kolbe. Kościół dolny jest poświęcony Armii Krajowej. Twórca sanktuarium i obecny jego Kustosz, ks.